



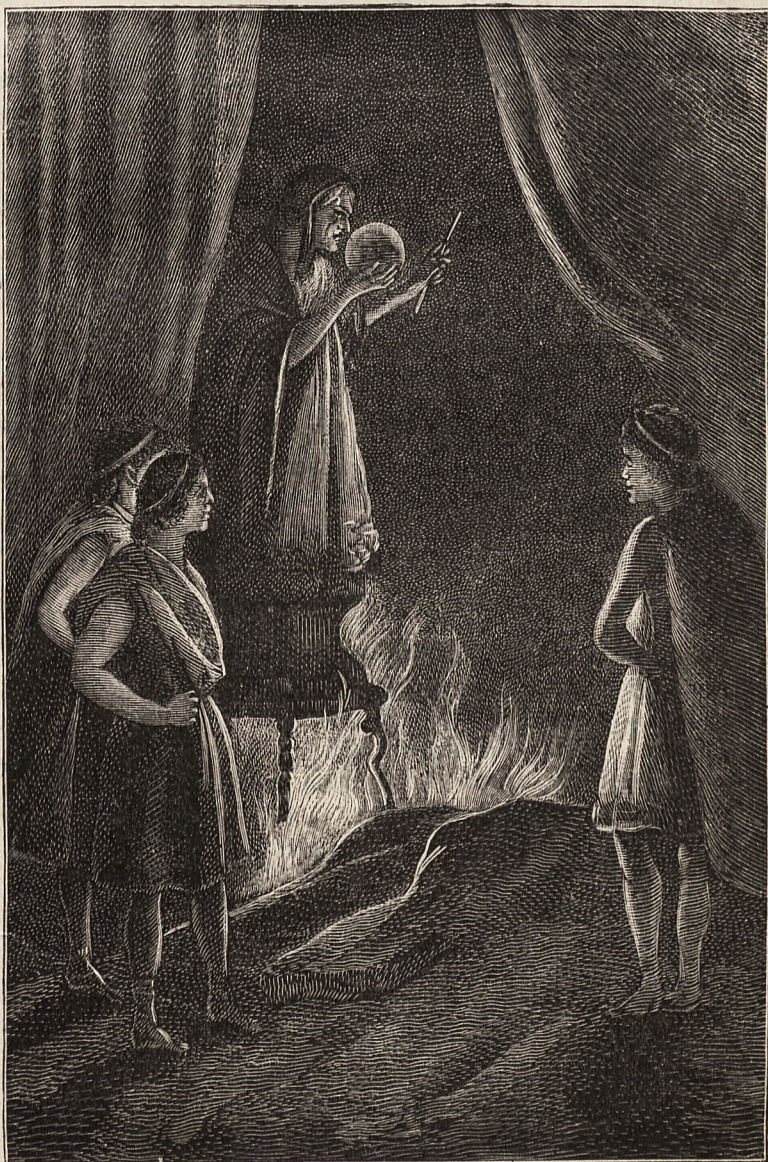
WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

KSIEGA PRZYRODY.

Drogie dzieci, ot przed wami
Księga wielka rozpostarta,
Obłokami i gwiazdami
Malowana każda karta.
A obrazków tyle, tyle!
Tu barwione tęczą chmury,
Tutaj kwiaty, tam motyle.
Cudna księga ta natury,
Bo Bóg na niej dłoń położył,
I malował sam te gaje,
Wonne łąki i ruczaje,
Każdy kwiatek, muszkę stworzył,
I w malutkiej trawce, kwiecie,
W każdym złotym kłosie żyta,
Tak jak w całym tym wszechświecie
Wielka, Boża myśl ukryta.
Więc się ucz z niej dziatwo droga,
Czuć i myśleć, chwalić Boga.
Ucz się z księgi tej przyrody
Obowiązków życia, zgody...
Ucz zrozumieć sercem, duchem
Co nie pojdziesz okiem, słuchem.

M. S.



L. W. Szczerbowicz.

ALKAIOS W MOTONIE.

OBRAZEK Z CZASÓW STAROŻYTNICH

GRECYI.

II.

W chacie Heloty.

Dziwny to dom był, zaiste; przyparty do skały, a zbudowany, czyli raczej ułożony z niekształtnych głazów rozmaitej wielkości, które trzymały się własnym ciężarem, jak owe prastare budowle cyklopejskie. Pomiedzy bryłami kamieniami bielą tu i owdzie odłamy kolumn i szczątki posągów: tu wprawiono przewrócony kapitel dorycki, owdzie odłuczony ramię, tam pół twarzy grubej rzeźby z pierwotnego okresu sztuki niedoskonałej. Schronienie to zostało widocznie skleconem po jakiejś katastrofie, która zniszczyła miasto. W tak zbudowanych ścianach nie brakło szpar i szczelin, już to pozostawionych umyślnie, już to przypadkowych: jedna z nich środkowa i największa, służyła za drzwi; inne boczne odgrywały rolę okien, wpuszczając nieco światła do ponurego wnętrza; na dachu zaś, pokrytym gliną i suchemi gałęziami, kilka dużych szczelin zastępowało widocznie kominy, bo z nich wydobywały się wąskie smugi płowego dymu.

Teano, wyprzedziwszy gościa, żwawo weszła do wnętrza chaty i wnet zaczęła krzątać się około ogniska, położonego wprost wejścia. Stary Damofon stał przed chatą. Te same miał rysy twarzy, co Teano, tylko, że zwiędłe; podobnemi oczami, ale przygasłemi, spoglądał na cudzoziemca.

— Witaj, gościu! — rzekł, pochylając się nieco i spuszcżając prawą dłoń ku ziemi. Skoro bogowie cię tu przywiedli, nie wzgardzisz ubogą chatą i chlebem niewolnika heloty.

— Dzięki niech będą Zeusowi — odpowiedział podróżny — za to, że skierował mię w gościnne twe progi, o Damofonie. Wszyscy jesteście bracia, bo wspólna matka ziemia nas zrodziła i napowrót przyjmie do swego łona; wszyscyśmy niewolnicy wobec potęgi losu i bogów nieśmiertelnych.

Tak mówiąc, razem z gospodarzem wszedł do wnętrza chaty. Ubogo tu było: oprócz kilku sprzętów gospodarskich w głębi przy ognisku, znajdowało się tu zaledwie kilka sieniaków i grubych dywanów, a przy drzwiach stał prostej roboty stół kamienny i kilka ławek drewnianych. Po izbie uwiła się biała koza z czarnym koźlatkiem i kręcił się duży pies żółty — tych gospodarz niebawem za drzwi wypędził. Na jednej z ławek posadził gościa, uwolnił go od płaszcza, miecza i lutni, a położwszy to wszystko w kącie na swoim posłaniu, wrócił do stołu i zajął miejsce na drugiej ławce.

— Pięknie powiedziałeś, gościu — rzekł gospodarz — żeśmy wszyscy bracia, myślę o tem często, ale niestety, na ziemi takiego braterstwa, nigdy chyba nie było i nie będzie.

Skinął na córkę, która zbliżyła się do nich.

— Pozwól, gościu — rzekł — iż według obyczaju, córka moja umyje ci nogi, zanim posilimy się ubogą strawą.

— Dziękuję wam — odparł wędrowiec, ale na ten raz zbyt czyste: w wodzie pluskałem się dosyć, więcej niżbym chciał i wolę teraz zdaleka suszyć się u tego ogniska.

— Niech będzie, jak żądasz, cudzoziemcze — mówił Damofon.

Teano postawiła na stole dzbanek z winem, kubki cynowe, chleb, figi, ser i nieco zimnej koziny. Podawała miednicę i ręcznik — obydwaj umyli ręce.

— Niewykwiłtne to jadło — rzekł ze smutnym uśmiechem gospodarz — ale przyjmij, gościu, na co stać nas ubogich.

— Dla podróżnych i rozbitków to aż nadto dobre — odparł cudzoziemiec.

— To też do takich potraw — mówił Damofon, nalewając kubki — nie potrzebujemy kłaść się na miękkich łożach, jak to gdzieindziej w Grecyi czynią: my Dorowie siadamy do stołu, obyczajem dawnych wieków. Podnieśli w górę kubki i ulali nieco na ziemię, jako libację dla bogów.

— Cześć Zeusowi oraz Heraklesowi — rzekł gospodarz.

— Apollinowi, Afrodycie i wszystkim bogom Olimpu — dodał gość.

Gdy wędrowiec głód zaspokoił i kubki już kilkakrotnie zostały opróżnione, gospodarz i gość powtórnie ręce umyli. Damofon, nalewając wina na nowo, tak się odezwał:

— Teraz, gościu, jak obyczaj każę, powiedz, gdzie twój ojczyzna, skąd przybywasz i dokąd dążysz?

— Jestem Alkaios, żołnierz i śpiewak. Ojczyzną moją jest piękna wyspa Mytilena, perła Sporadów, słynna z wiecznej wiosny, czystego nieba i najlepszej oliwy. Na nieszczęście, w tym rajy nie masz spokoju i zgody między ludźmi. Skoro tylko który z obywateli urośnie w bogactwa oraz znaczenie, wnet dąży do władzy i dopuszcza się gwałtów, aby zostać panem, czyli, jak mówimy, tyranem rzeczypospolitej. Stąd walki bratobójcze, morderstwa, wygnania. Od lat trzydziestu należę do tych, którzy zwalczają takich panów, ale zaledwie wypędzimy jednego, wnet pojawia się drugi. Usunęliśmy Melanchrosa, wypędziliśmy Megalagry, a oto teraz Pittak, niegdyś mój przyjaciel, z którym razem dawniej walczyłem, sam ogłosił się władcą i muszę przed nim uchodzić. Pokusie panowania nie mógł oprzeć się nawet ten mąż, którego zawsze miałem za cnotliwego, który uchodzi za mędra w świecie helleńskim...

Umknęliśmy we dwóch na małej, wątlej łódce, zamierzając szukać schronienia na pobliskim Samosie lub w którymś z miast jońskich, ale burza zagnała nas aż tutaj. Towarysz mój Antimenidas utonął, mnie Zeus i Posejdon ocalili. Zamierzam udać się do Sparty, a może i do innych miast Hellady, aby szukać pomocy przeciw przywłasczycielowi.

Damofon westchnął.

— Wszędzie więc to samo — rzekł. — Wszędzie bracia walczą z braćmi, za walką idą zniszczenie i upadek. Tu oto, gościu, jesteś w mieście napół umarłem. Piękny ten port i gród kamienny założył niegdyś Epytos, potomek Heraklesa; ale dziś żaden już kupiec nie przybywa do Motony ze swym statkiem, domy i świątynie leżą w gruzach.

— Oddawna? — pytał gość.

— Od ostatniej wojny Messeńożyków ze Spartą, będzie temu już lat siedemdziesiąt. Dziad mój zginął wtedy przy boku Arystomenesa. Mieszkańcy jedni polegli, drudzy wywędrowali do Elidy, pozostali musieli poddać się Lacedemonczykom i zostali obrócenii w niewolników — helotów. Ojciec mój byłby może wywędrował, ale był wtedy zbyt młodym chłopięciem. Mieszka nas tu kilku zaledwie, w chatach jak moja, uprawiając ziemię dla swych panów spartańskich.

— Nie jesteście więc niewolnikami z urodzenia — mówił Alkaios — lecz w skutek losów wojny.

— Wszak jesteście Doryjczykami, jak i Spartanie, a mój ród pochodzi od króla Epytosa — rzekł z dumą gospodarz.

— O ile słyzałem — mówił gość — heloci oddają swym panom tylko pewną część plodów ziemi, a reszta do nich należy. Pozwala się też im podobno kupić sobie swobodę, a Spartanie ani ich zabijać, ani sprzedawać nie mogą. Niezbyt to więc sroga niewola.

— Tak mniemasz, gościu? — zapytał z goryczą Damofon.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale się wstrzymał i za milkł.

— Według podania — mówił po chwili — gdy potomkowie Heraklesa dzielili się zdobytym Peloponezem, powstał między Kresfontesem a jego bratankami spór o posiadanie tego kraju, gdyż obie strony wołały urodzajną Messenię od nagiej i jałowej Lakonii. Zgodzono się wreszcie na wyrok losu: do napełnionego wodą naczynia Kresfontes rzucił dwie gałki gliniane — jedną za siebie, drugą za bratanków; ten, czyją gałkę wyciągnętoby pierwej, miał swobodę wyboru między Messenią i Lakonią. Ale Kresfontes ulepił gałkę bratanków z gliny miękkiej, swoją zaś z gliny palonej: tamta więc rozpuściła się w wodzie i wyciągnęto gałkę Kresfontesa, który wybrał sobie Messenię. Stąd początek waśni bratniej, bo królowie Sparty uważali się zawsze za pokrzywdzonych, za pozbawionych podstępnie posiadania pięknego naszego kraju.

— Zapewne i Spartanie — rzekł gość — w wojnach z wami uciekali się nieraz do podstępów.

— Tak, a nawet więcej dokonali podstępem, niż siłą. Nieraz zbrojna młodzież spartańska w przebraniu kobiecym, zbierała się u pogranicznej świątyni Artemidy, ukrywając oręż pod sukniemi. Nieraz zarówno w czasie obrony Itony za Arystodema, zjawiali się u Messeńczyków mniemani zbiegowie, a w rzeczywistości zdrajcy spartańscy, wszak jeden z takich zbiegów fałszywych, przyniósł w worku dwanaście trójnogów glinianych do świątyni Zeusa w Itomie, gdy Spartanie dowiedzieli się, że wyrocznia obiecuje posiadanie miasta temu z obu walczących, który pierwej ofiary tej dokona. W walce otwartej Spartanie rzadko dorównywali Messeńczykom: gromił ich nieraz Arystodem, a przed Arystomenesem zastępy lacedemońskie często uciekały w nieładzie przez całą dolinę Stenyklaru. Wszak w ostateczności, nie mogąc sprostać w boju przodkom naszym, musieli wezwać z Aten kulawego śpiewaka Tyrteusza, żeby wzbudzał i podtrzymywał gaśnące ich męstwo.

— Jakże więc ulegliście w końcu? — pytał Alkaios.

— Gniew bogów podał Messenię w jarzmo Sparty; głód wydał w ich ręce Iry po jedenastoletnim oblężeniu. Zawodziły nas wyrocznie, zawsze złośliwe dla śmiertelników, ślepych na ich prawdziwe znaczenie. Przy końcu oblężenia Iry, Pytia ogłosiła, że gród ten upadnie wtedy, gdy kozieł napije się z rzeki Nedy: nie dopuszczano więc do niej tych stworzeń brodatych, aż oto pewnego razu, dotknęły powierzchni fal zwieszono nad wodą gałęzie rosnącej na brzegu dzikiej figi, a drzewo to lud także kozłem nazywa...

Dumali czas jakiś w milczeniu.

— Gościu — przemówił powstawszy, gospodarz. — Potrzebujesz zapewne spoczynku: zaśnij więc, proszę, na mojem ubożem posłaniu, a ja zakrzętnę się około gospodarstwa.

(d. n.)

Zofia Kowerska

DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg).

— Żebym potrzebował pracować na matkę lub ojca, tobym tak zrobił jak mi radzisz — rzekł do czeladnika — ale, że jestem sam jeden na świecie, to nie odejdę od tych państwa, u których mi jest dobrze i którzy mnie na ludzi wyprowadzą.

Spotkała też Józika i druga propozycya. Pan Dratwiński stanął nad nim, gdy czytał głośno Franusiowi i zawołał gburowato:

— No, paniątko, możebyś teraz wrócił do mnie? Płaciłbym ci dobrze bo mi potrzeba do sklepu kogoś uczciwego,

cooby umiał rachować i zapisywać. Sam muszę siedzieć z pociągłem w warsztacie, bo tam czeladnicy na głowach stawają, dokazują tylko i próżnują. Trzeba ich lepiej pilnować! Tyłko im śmiechy w głowie, a o robocie to żaden nie myśli.

— Nie, panie majstrze, zgodziłem się u państwa Wirwońskich i tam już będę, dopóki mię nie odpędzą!

— Dałbym ci pięć rubli miesięcznie, no, dałbym ci i sześć, a może nawet i siedm.

— Nie mogę, panie majstrze.

— Kotkę mojej żony zabił kamieniem ten łobuz, syn stróża, toby i pies mógł sobie być...

— Nie mogę, proszę pana.

— Cóż tobie tam płacą?

— Dotąd nic, proszę pana.

— Ot głupie paniątko! Nigdy się niczego nie dorobisz jak tak będziesz dbał o swoje dobro! ale z głupim niema co mówić.

I pan Dratwiński odszedł zły i nadąsany, ruszając ramionami.

Od czasu do czasu Józik odwiedzał też Wojciechową, która teraz służyła już u innych państwa, ale Bosa i tam ją odnalazł. Nikomu się nie zwierzył więc niewiedomo jakiego użył sposobu do wykrycia mieszkania swej dobrodziejki, to tylko pewna, że Wojciechowa mówiła właśnie do pokojówki:

— Jednego mi żal, to tego psiny, co mię tam teraz szuka na dawnym mieszkaniu i nie wie gdzie się podziałam. Ha, może to i lepiej! Józik pożyczył to niby odemnie pieniądze, ale na wieczne oddanie! Dobrze, że teraz czasem choć trochę kości sprzedam!

Aż tu — skrob, skrob! — do drzwi. Wojciechowa zerwała się, otworzyła i chwyciwszy Bosego za szyję, ucałowała go w czoło.

— A to nie jak pies, ale jak człowiek mądry! — wołała rozczulona. — Dopytał się o mnie, jakby umiał mówić! Chodź tu, piesku, nie schowałam ci resztek, bo nie wiedziałam, że przyjdiesz, ale ci oddam moją własną kolacyę!

Bosa miał jeszcze drugą taką osobę, co o nim myślała.

Jednego dnia, przed sklepem pana Wirwońskiego zatrzymała się karetka. Z kozła zsiadł lokaj, otworzył drzwiczki i wysadził naprzód Boksa, który miał katar, był smutny, ociężały i cały okryty był watowaną kołderką, potem Fiksa, Bibę, Mirzę, Ralfa i Spircia. Podał następnie rękę wystrojonej pani, która wzięwszy w rękę sznureczki, na których uwiązane były psy, weszła do sklepu pana Wirwońskiego.

— Czem mogę służyć?... — zapytał grzecznie pan Wirwoński.

— Czy jest w domu...

— Ach, zapewne pani pyta o Józika Kilowskiego?

— O Józika Kilowskiego? A cóż on mnie może obchodzić? Pytam, czy jest w domu ten pies czarny z białemi łapkami?

— Musi być. On tylko wieczorem z domu wybiega.

— Więc proszę... niech tu wejdzie ten Józik ze swoim psem.

Pan Wirwoński posłał do warsztatu po Józika i Bosego. Obadwaj wkrótce stanęli przed wystrojoną panią, a Bosa, zapewne przez litość nad chorym Boksem, począł wachać jego kołderkę i przypatrywać się jego oswiałej minie.

— Przyszłam zaprosić twego psa na podwieczorek — rzekła wystrojona pani. — W niedzielę przypadają właśnie urodziny Spircia i żeby mu zrobić przyjemność, zapraszam jego znajomych na podwieczorek. Sam Bosa by nie przyszedł, więc proszę, byś go, mój chłopcze, przyprowadził.

Józikowi ogromnie się śmiać chciało tembardziej, że pan Wirwoński odwrócił się i zakrył usta chustką i aż się dusił ze śmiechu. Ale chłopiec przypomniał sobie, że z tą biedną panią źle się obszedł jej brat rodzony, i że ona tak kochała psy z żalu do ludzi. Miała serce gorące, ale zostało tak nielitościwie zranione, że aż psy ukochało zamiast kochać ludzi. Więc gdy Józik pomyślał to sobie, zdjęła go wielka

litość nad wystrojoną panią i patrząc na nią swojemi dobrymi, niebieskimi oczami, odpowiedział:

— Bosy stawi się na rozkazy, byłem wiedział adres.

Pani dała swój adres, odchodząc tylko dodała:

— Jeżeli by Boksowi było gorzej, to urodziny Spircia będą obchodzone w oktawę, czyli od niedzieli za tydzień.

I wyszła blada i wystrojona pani, wsiadła do karety a za nią lokaj wsadził naprzód Boksa z wielkimi ostrożnościami, a następnie inne pieski.

W niedzielę Józik z Bosym poszli na podwieczorek i zostali wprowadzeni do wykwintnie urządzonego mieszkania. Józik rozglądał się ciekawie, bo nigdy przedtem nie



Wodospad Niagary latem.

podobnego nie widział. W przedpokoju wisały różnej wielkości i rozmaitego koloru czapraki, obroże, kagańce i wstążki, jednym słowem spacerowe ubranka piesków. W jadalnym pokoju były niskie stołeczki, na których się stawiało osobne miseczki dla każdego z piesków; na ścianach mnóstwo fotografii i portrecików rozmaitych, żyjących jeszcze lub dawniejszych ulubieńców. Za jadalnym pokojem znajdował się salonik a zarazem sypialnia piesków. Podłoga wysłana była miękkim dywanem, a wzdłuż ścian stały kwadratowe łóżeczka z poduszeczkami, kołderkami i pierzynkami.

Podczas kiedy Józik zwiedzał mieszkanie, po którym oprowadzała go sama pani, zaczęli się schodzić inni goście Spircia. A więc naprzód przyprowadzono Milusię z drugiego piętra, potem Ciuka ze sklepu, gdzie pani zawsze kupowała towary kolonialne, wreszcie przyszła z dwoma swoimi ulubieńcami niemłoda osoba, którą pani domu nazywała panną Franciszką. Pieski jej nazywały się: Flink i Mopuchna.

— Jakże dziś zdrowie Boksia? — zapytała panna Franciszka.

— Ma się znacznie lepiej — odparła pani domu — jest weselszy, tylko jeszcze trochę osłabiony.

— Biedny kochaneczek tak się nacierpiał! — mówiła panna Franciszka. — A któż to jest ten chłopiec? — dodała spostrzegłszy Józika.

— To jest właściciel tego ślicznego czarnego psa, co przy mnie stoi. Prawda, jaki piękny? Nazywa się Bosy.

— Ładne stworzenie, tylko szkoda, że ma takie pospolite imię. Lepiejby do niego pasowało: Fakir albo Hermes... Lofki albo... Czerry.

— On się od urodzenia nazywa Bosy, proszę pani — odparł Józik.

Podczas tej rozmowy psy wzajemną ze sobą zabrały znajomość. Zbliżały się jedne do drugich, wietrząc z niedowierzaniem, to znów się oddalały. Ciuk, duży, biały pudel, widocznie głodny, zaczął szperać po wszystkich kątach, szukając zapewne jedzenia. Milusia, mała angielska, nie przyzwyczajona do licznego towarzystwa, była niem tak onieśmielona, że się schowała pod fotel i za nic w świecie stamtąd wyjść nie chciała. Mopuchna śmielsza, od razu zaprzyjaźniła się z chorym Boksem (zapewne przez dobroć serca). Flink czupurny, czarny, podpalany taksik, poznajomiwszy się pospiesznie ze wszystkimi, zbliżył się do Spircia lecz zamiast mu powinszować, zaczął na niego warczeć. Bosy stał nieruchomy przy Józiku, oszołomiony i zaniepokojony.

Wreszcie, w stołowym pokoju rozległ się odgłos dzwonka, drzwi się otworzyły i domowe pieski w radosnych podskokach wbiegły do swojej jadalni a za nimi pospieszyli goście. Miejsc nakrytych było tyle, ile było psów; na każdym stała porcelanowa miseczka z zupą — doskonałym, wonnym rosółem. Domowe pieski tak były wytresowane, że każdy, pozwoliwszy sobie uwiązać przez służącego serwetkę, szedł zawsze na swoje miejsce i jadł tylko ze swojej miseczki. Tym razem też, wedle zwyczaju poszły po serwetki a goście tymczasem, szczególnie Ciuk, rzucili się na przygotowane porce, nie bacząc dla kogo były przeznaczone i pozjadały wszystko zanim domownicy zdążyli do swoich miejsc docisnąć się. Powstał więc straszny zgiełk, warczenie, szczekanie i piski; byłoby pewnie doszło do zaciętej bójk, gdyby obie panie i Józik nie pospieszyli na ratunek. Z wielkim trudem uspokoiono zwaśnionych, ale już wszyscy jakoś stracili humor.

Tymczasem wniesiono drugą potrawę: doskonałe, siekane kotlety cielece. Pani porozdzielała je na osobne talerze, które lokaj roznosił psom, szemrzając przytem i wyrzekając po cichu:

— A to ci dopiero z tymi psiskami! I na co to człowiekowi szeszo, że musi usługiwać takiej hołocie! Płacą mi za to dobrze, to prawda, ale zawsze...

— Flink, połknąwszy szybko swoją porcję, rzucił się na talerz swego sąsiada Ralfa i chwycił jego kotlet. Ralf rozżłoszczony rzucił się na niegrzecznego gościa i dalejze go gryźć, skubać za uszy warcząc przytem groźnie. Do takiej samej kłótni doszło między Bibą a Mopuchną. Tym razem trudniej było sprawę załagodzić, bo psy były poprzednim sporem rozdrażnione i o zgodzie słyszeć nie chciały. W dodatku Bosy widząc, że Ralf, jako silniejszy srodze się pastwi nad Flinkiem, pospieszył mu na ratunek, co widząc inne psy i pieski rzuciły się między walczących. Trzeba było zawołać więcej służby by psy uspokoić.

(d. c. n.)

WODOSPAD NIAGARY.

Mało bezwątpienia znajdzie się widoków równie silnie oddziaływających na widza swą potęgą i pięknem, jak sławny, wysoki na 120 metrów, wodospad Niagary, rzeki, płynącej w północnej Ameryce na pograniczu Kanady i stanu Nowego-Yorku i łączącej jeziora Erie i Ontario.

Przyczynę tak wysokiego i gwałtownego spadku stanowi różnica poziomu obu wzmiankowanych jezior.

Wzburzona i pieniaąca się Niagara przeskakuje lekko górne odłamy skały, tworząc mniejszych rozmiarów katarakty, aż gdy dochodzi do ostaniej głębi wynoszącej około 50 metrów, zdaje się cichnąć i jakby lekko namyślać, zanim rzuci się w przepaść, która na nią czeka.

Owa niezmierna ilość wody zlewająca się bez przestanku z niepojętą siłą, tworząc linię nieco kolistą, wydaje się wreszcie oczom zdumionego widza jakimś ciałem stałym a migotliwych blaskach kryształu. Gwałtowność spadku jest tak wielką, iż woda rozbita w głębiach unosi się w około mglistym obłokiem mokrego pyłu. (rycyma I).

Wyspy *Gout Island* czyli *Kozia*, i *Tree Sisters* albo *Trzech Sióstr*, rozdzielają wodospad na dwa nierówne ramiona; jedno zwane spadkiem amerykańskim, jest szerokie na 350 metrów, drugie noszące miano *Horse shoe-fall* (podkowa końska), dochodzi 633 metrów.

Uгода międzynarodowa z 1814-go roku, zakreśliła właśnie w środku tejże Podkowy, linię graniczną, która w ten sposób przypada na największą głębię wodospadu.

Pokryte roślinnością obie wyspy, połączone są między sobą, jako też z terytorium amerykańskim mostami, które pozwalają podróżnym podziwiać z góry imponujący widok spadających wód, gdy znowu do skalnego podnóża wyspy *Koźlej*, tuż przy znacznej wklęsłości zwanej wgłębieniem wiatrów, (*Cave of the winds*), jaką tworzy z tej strony jej ściana, można zejść po umieszczonych drewnianych schodach, aż do samego dołu, aby się znaleźć w wyjątkowym położeniu między skałą, a wodospadem.

Wówczas w nieodzownym ubraniu gumowem, ciekawy turysta, nie dający się odstraszyć iście piekielnym hukem, jaki sprawia staczająca się woda, ma w zamian za swe trudy jedno z najciekawszych zjawisk w przyrodzie, wywołanych grą promieni słońca, przez płynną masę i unoszące się mgły, zja-

wisko z niezem nieporównane, migotliwych, jaśniejących, a ciągle zmiennych barw tęczyowych.

Gdy wszakże od granicy amerykańskiej grubość spadającej wody nie przechodzi dwóch metrów, od strony wyspy, *Podkova Końskiej*, dochodzi aż siedmiu metrów i odbija charakterystycznie swą ciemno-zieloną barwą, od białosci pierwszego spadku.

Ale jeżeli w ogóle widok wodospadu Niagary, jest wyjątkowo wspaniałem zjawiskiem, to bodaj najoryginalniejszym bywa w porze zimowej, gdy silne mrozy zamieniają burzący się żywioł na stałą, błyskotliwą masę, zwieszającą się z wyżyn skalnych, niby olbrzymie kryształowe stalaktyty, w których blask słońca w brylantowych załamuje się połyskach.

Więc też kiedy przed spadkiem kanadyjskim utworzy się gruba powłoka lodowa, o kilka zaledwie metrów, od spływającej wciąż do przepaści, po kryształowych soplach wody, wtenczas zbierają się liczne tłumy widzów i podchodzą tam, aby podziwiać zbliska ten całkiem odmienny obraz wodospadu, który nam przedstawia rycina II.

Inny znów widok, nie ustępujący pierwszemu w niczem, daje nam w tej porze *Wyspa Koźla*, której olbrzymie a delikatnie rzeźbione lodowe słupy, wieńczy korona drzew, pokryta białą szadzią zmarzłej pary wodnej. Gdy słońce zaświeci a wiatr poruszy tak przystrojonymi gałęziami, zdaje się zdumionym widzom, iż znaleźli się w jakimś zaczarowanym kraju baśni i legend.

A tymczasem płynny żywioł ginąc zrazu w przepaści, ukazuje się w pewnej odległości spokojny, ponury, prawie nieruchomy.

Jednakże z roku na rok *Podkova Końska* zmienia swój kształt, rozszerzając coraz więcej ramiona. Miano-

wicie porą zimową, najwyraźniej zauważyć można tę różnicę, spowodowaną bądź to powolnym wpływem przesiąkającej wciąż wody, bądź też działaniem masy lodowej, której spadające bryły kruszą ją i obłamują.

Mimo tego wszakże, wedle obliczeń uczonych geologów, wspaniałe zjawisko wodospadu Niagary, może trwać jeszcze kilkadziesiąt wieków, nie straciwszy nic na swej imponującej wielkości doby obecnej.

Obecnie wzdłuż wybrzeży Niagary wznoszą się wspaniałe hotele, dla napływających tam tysiącami turystów. O ile jednak miejscowość zyskała przez to na wygodzie, o tyle bodaj straciła na właściwym sobie charakterze dzikości, która tak doskonale harmonizowała z potęgą olbrzymiego wodospadu.



Wodospad Niagary zimą.

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg).

— Słusznie mówicie, ojcze — podchwycił król żywo. — Ciągłe wojny i niepokoje nie dozwoliły mi spełnić danej siostrzanowi obietnicy, choć mi to nieraz już przychodziło na myśl. A nawet doznałem szczególniejszej łaski św. Maurycego, że po kilka razy we śnie przypominał mi ślub uczyniony. Szczęśliwy więc będę teraz, mogąc go spełnić. Kto wie — dodał w zamyśleniu — może to ma większe znaczenie tam w górze, niż, my ludzie słabym rozumem dojść możemy; może Bóg przez Świętych swych we śnie chciał mię ostrzedz, że od tego zależy bezpieczeństwo wiary świętej w naszym kraju. Wam, ojcze, polecam tę sprawę; zajmijcie się sprowadzeniem owych Benedyktynów; ofiaruję na to złota, ile tylko będzie potrzeba, jak również na budowę klasztoru.

— Jutro zaraz napiszę list do przeora klasztoru w Monte-Casino — odrzekł opat spokojnie — i sądzę, że można go będzie wkrótce wysłać... niech tylko goniec będzie w pogotowiu.

— A więc wszystko dobrze — rzekł król uradowany; — trzeba teraz zająć się budową klasztoru. Do was, wojewodo Sieciechu, należy dostawienie robotnika i budowniczych; postarajcie się, by wszystko było jak można najprędzej.

— Trzeba, miłościwy panie, sprowadzić ich z niemieckiej ziemi — odparł Sieciech — jak wówczas, gdy stawialiśmy klasztor w Międzyrzeczu.

— Z niemieckiej ziemi! — powtórzył król. — Kiedyż przestaniemy sprowadzać wszystko z niemieckiej ziemi! Kiedyż będziemy mieli u siebie co nam potrzeba!

— Przyjdzie kiedyś ów czas, miłościwy królu — wnięszal się Stoigniew — jeszcze Niemcy będą od nas niejedną rzecz brali.

— No, nie powiem, by i teraz nie od nas nie brali — rozśmiał się jeden z wojewodów, Nawój. — Biorą od nas po łbie, gdy go wsuwają w nasze granice.

Głośny śmiech rozległ się po tych słowach i rozmowa przeszła na ton lżejszy.

— Oj! za mało, widać, wzięli od nas wojewodo — wy-rzekł król — bo wciąż nam brózdzą.

— To im dołożymy, miłościwy panie — odrzekł żywo wojewoda.

— Mam i ja w Bogu nadzieję, że im jeszcze dołożymy z pomocą moich dzielnych zuchów, którzy już nieraz Niemcom dali się we znaki — zawołał król.

I z uśmiechem obrócił się do kilku wojaków, stojących nieopodal.

— Niechby już prędzej iść na tych Szwabów! — odezwał któryś z nich rażno.

— Tak wam się śpieszy? — spytał król. — Czyście dawno wrócili z wyprawy na nich?

— Cóż z tego, miłościwy panie? Gdy człek do czego przywyknie, to bez tego żyć nie może — odrzekł jeden z wojaków, Zbilut, małego wzrostu, żwawy, z czarnymi bystremi oczyma.

— A jednak był czas, iż ochotnie biłeś się za Niemców — rzekł mu król.

— Eh, miłościwy panie, wówczas to było co innego. Cesarzowi Ottonowi nie żal było służyć, bo był to pan dobry i mądry, a wielce nam przyjazny — odparł Zbilut. — Gdyście nas, miłościwy panie, posłali z nim do włoskiej ziemi, to było nam tak dobrze, że trudno już lepiej, bo cesarz patrzył

na nas okiem nader łaskawem i hojnie nagradzał. Prawda, że choć nas było tylko trzystu, aleśmy mu nie małą byli pomocą, a po jednej bitwie w pobliżu jakiegoś grodu... nie pomnę już jak go zwano... każdego z nas obdarzył pasem rycerskim i złotym łańcuchem.

— Miłościwy królu — ozwał się wojewoda Bożydar z uśmiechem — na drugi raz nie wysyłajcie w pomoc obcym panom najdzielniejszej naszej młodzi, bo jeszcze na zawsze zostaną na obczyźnie... tak im się tam spodobało. Mój syn, od kiedy wrócił, to jeszcze zapomnieć nie może owej pięknej włoskiej krainy, kędy mówią, wieczne słońce świeci; wciąż o niej ino marzy, we śnie i na jawie.

— Prawdaż to, Ładonie? — spytał król stojącego za nim młodego rycerza.

Był on pięknej, wyniosłej postawy, jasnych włosów i niebieskich oczu, o śmiałym, ale łagodnym wejrzeniu. Na zapytanie króla rzekł swobodnie:

— Prawda, miłościwy panie, bo gdy wspomnę o pięknych warownych grodach italskich, to zawsze żałuję, czemu u nas niema jeszcze podobnych.

— A Gniezno? — ozwał się ktoś z obecnych.

— Zaraz znać, żeście nigdzie więcej nie byli — odrzekł Ładon z zapalem. — Gdzie Gniezno równać można, nie mówię z Rzymem, ale choćby z innymi pomniejszych grodami włoskiej ziemi! Gdzie u nas aby jeden taki kościół mурowany, jaki u nich w każdym grodzie! A gdy staniesz przed którymś malowaniem, to ci się zdaje, że naprawdę żywi Święci zstępują z nieba. I śpiewają też po kościołach pięknie, jak aniołowie, że u nas nikt nawet nie słyszał czegoś podobnego.

— Ejże! cości zanadto wspominasz owe grody italskie! — przerwał król z uśmiechem — widzę i ja teraz, że bardzo cię tam coś ciągnie.

— Nic innego, tylko to co mówiłem, miłościwy panie — odrzekł Ładon; — bo co do reszty, to wiele rzeczy tam nie przypadło mi do smaku i myślałem, że u nas jest lepiej. Naprzód, nie mordują się tak i nie zabijają u nas na każdym kroku...

— Niechaj ich tam, tych Włochów! — przerwał Zbilut — ja znów myślałem nieraz, że nie chciałbym ich świętości, ni bogactw, gdybym miał wciąż się obawiać noża albo trucizny. Gdy wdowa po owym Krescencyuszu, którego cesarz Otton na śmierć skazał, otruła później cesarza, rzekł sobie: „Niech was, mili Włosi, jasny piorun trzaśnie z waszymi grodami, murami i słońcem! Wolę ja nasze niebo, często chmurne, i naszych ludzi, prawda, nie bardzo świętych, lecz z sercem szczerem i bez zdrady w duszy. Nie wiem, co tam Ładonowi tak się podobało; bo, co do mnie, rad byłem, gdyśmy już stamtąd wyszli nareszcie, bo a nużby mię żgnął który w bok nożem? Wcale nie jestem tchórzem, ale takiego upominku nie życzyłbym sobie.

— Ja nie miałem przyczyny obawiać się ich noża, to też nie tak mi się śpieszyło — odrzekł Ładon spokojnie; — wiedziałem, że na niego nie zasłużyłem, to pocóż miałem bać się. Ale, co prawda, to prawda; pięknie tam u nich: szerokie gościńce, bogate grody, kędy się zbierają kupcy z czterech końców świata; kościoły, zamki! Żeby u nas choć połowa tego była, dopiero byłibyśmy potężni i Niemcy nie drwiliby z nas, że mieszkamy w chlewach.

— Ot, miłościwy panie — ozwał się wojewoda Nawój, na Ładona wskazując — młody, a jak zaczął opowiadać o tych krajach dalekich, to my starzy geby pootwieraliśmy z podziwu. Zebyż to Bóg dał, by i u nas było tak kiedy!

— Będzie — odparł król — jeśli mi wszyscy w tem pomagać będziecie, i starzy i młodzi, by wykorzeniać ślady dawnej dzikości; bo mnie, jednego człowieka, nie stać na to, jeżeli nie znajdzie pomocy w poddanych.

— O, miłościwy panie — zawołał Ładon z zapalem — któżby wam nie chciał w tem pomagać? Wszyscy jesteśmy gotowi...

Ale umilkł, przypomniawszy sobie, że nie do niego wprost zwrócona była mowa i że wnięszal się do rozmowy starszych.

— Wiem, że każdy z was, tu obecnych, gotów mi w tem pomagać — odrzekł Bolesław, który zdawał się zadowolonym z zapadu, z jakim przyjęto jego wezwanie — i liczę też na was i teraz.

— Nie wiele wprawdzie mamy na to czasu, bo wciąż prawie trzeba ucierać się z wrogiem, który usilnie pragnie uas połknąć, ale przecie, przy dobrej woli potrafimy pokazać Niemcom, żeśmy nie taka dziec, za jaką nas głoszą...

— A co najważniejsze, potrafimy im stanąć kością w gardle — ozwał się wojewoda Nawój, żywym ruchem wskazując na gardło, na co Bolesław uśmiechnął się.

Jeszcze czas jakiś trwała rozmowa, poczem król oddalił się do swoich komnat, w towarzystwie najbliższego orszaku sług i dworzan.

III.

Długa, o małych oknach izba, z podłogą czerwonym sukniem wysłaną, pełna była gwaru i brzęku ostróg. Bolesław bowiem codziennie kazał zastawiać czterdzieści stołów, przy których zasiadali rycerze zagraniczni: Czesi, Morawianie, Łużycanie, Normandowie, walczący w zastępach królewskich. Przyciągnęła ich tutaj hojność króla, obsypującego ich różnemi darami i łaskami, jak zresztą w ogóle wszystkich mężnych wojaków, bo nawet ludzi nie wolnych za odznaczenie się w boju, podnosił do godności rycerzy.

Wielkie dębowe stoły uginały się od mis i dzbanów srebrnych oraz złotych; pacholkiwie roznosili stopy mięsiva, a czary miodu krążyły bezustannie

Bolesław zasiadł u pierwszego stołu wraz z opatem Tuni i dwunastoma wojewodami, po prawej stronie mając syna Mieszka, hożego młodzieńca, liczącego obecnie lat ośmnaście. Widać było po nim, iż nie odziedziczył zdolności po ojcu, lecz w twarzy tej młodzieńczej malowała się odwaga i męstwo, połączone z tak zwaną — szczęśliwą naturą, — to jest dobrą, wesołą i lekką, nie stworzoną do burzliwych walk. Z oblicza przypominał swego ojca, lecz wszystko, co w tamtym było wspaniałem, męskim, nadającym twarzy króla coś łwiego — w nim było złagodzone, zdrobniałem, jak i duch jego był słabem odbiciem ojcowskiego ducha. Bolesław spoglądał jednak na syna z radością i widocznie się nim pysznił; Mieszko bowiem w kilku bitwach mężnie się odznaczył i obiecywał być dzielnym rycerzem. Wszyscy otaczający również go lubili, bo hojny był i dobry, charakteru otwartego, ujmującego ludzkie serca swą szczerością. Słowem, byłby najlepszym i najszcześniejszym z ludzi, gdyby los nie kazał mu się urodzić na tronie.

Choć tak młody, był już zaręczony jeszcze w dwunastu latach z Ryksą, siostrzenicą cesarza Ottona, i wkrótce małżeństwo to miało przyjść do skutku. Wszyscy wiedzieli, że prośba królewicza była wszechwładną u ojca, to też gdy obawiano się gniewu króla, zwracano się do Mieszka, a on wyjednywał przebaczenie. Bolesław bowiem, zrażony do najstarszego syna, Bezbraina, całą swoją miłość i dumę zlał na Mieczysława.

Wkrótce na salę weszła królowa Hemilda, druga i najukochańsza małżonka Bolesława; piękne jej oblicze cechował wyraz niezwykłej dobroci i łagodności; król też okazywał jej wielką cześć i przywiązanie. Wraz ze swoim dworem niewieścim zajęła ona miejsce przy drugim stole.

Pomiędzy biesiadującymi kręcił się wesołek, mały człeczek, niski i gruby, jaskrawo odziany. Zwano go Osą, dla zjadliwego języka, a może i z powodu sprzeczności pomiędzy smukłą postacią tego owadu, a baryłkowatą figurką wesołka.

— Wielki królu — mówił głosem piskliwym — gdy pójdziesz znów na Niemca, to zabierz i mnie z sobą.

— Na cóż się nam tam przydasz, malec? — spytał król. — Czy myślisz, że go przestraszysz swą krągłą, jak piłka postacią?

— Ja obawiam się tylko tego, że twoi dzielni rycerze, królu, tak go już przestraszyli, że nie wylezie ze swej nory

i widzieć go nie będę, choćbym siarczyście tego pragnął — rzekł błazen. — Boć słuchając ich przechwałek, myślę, że wiele to płochliwa zwierzyna ten Niemiec i łatwo go pokonać... więc może i ja chudziaczek potrafię mu dać radę z moją grzechotką.

— A ty złośliwa oso, — wyrwę ja ci żądło! — mruknął wojewoda Nawój.

— A wojewoda Nawój, królu — prawil Osa coraz to piskliwiej i głośniej — to ci dopiero mąż straszny... on jeden pokona stu Niemców! Radzę, pošlijcie go naprzód samego, a spróbujecie.

— Cóż myślisz, głupcze, że się ich przestraszę? — krzyknął wojewoda. — Gdy będziemy dobijać się do jakiego niemieckiego grodu, to tobą kuszę nabije!

— A co to za stateczny i rozważny mąż, królu, ten wojewoda Nawój — mówił dalej błazen, jakby nie słysząc słów wojewody: — on jeden za całą radę stanie!

— Ty zuchwała piłko! — krzyknął wojewoda w niedanym gniewie, a wszyscy się rozśmiali mimowoli, bo wiedzianno, że wojewoda był nader porywczym w sądzie i król przypuścił go do rady tylko dla jego wielkiej znajomości w rzeczach wojennych.

Nawój zamierzył się na malca, lecz ten zręcznie uskokzył w bok.

— Za krótkie ręce, wojewodo! — zawołał, odbiegając. — Natrę ja ci uszu kiedyś, poczekaj! — mruknął wojewoda.

— Będzie to wtedy, gdy rak świśnie, albo gdy nasz król odbierze Pragę! — zapiszczał Osa.

— Ale, nim ci wojewoda natrze uszu, to wpierw ja to zrobię — ozwał się król; nadto sobie pozwałasz, błażnie!

Nie bowiem nie mogło bardziej rozdrażnić króla Chrobrego, jak wspomnienie o utracie Czech. Błazen poznał, iż za daleko zaszedł tym razem, i oddalił się przezornie do innych stołów, gdzie siedzieli rycerze.

Właśnie przy jednym z nich Ładon rozmawiał z duńskimi posłami, którzy dziwili się licznemu zbiorowisku zagranicznych wojowników na dworze króla polskiego.

— Nasz król wielce wspaniały dla obcych gości, uważając ich jakoby za synów swoich, a nie przybyszów, to też mu wszyscy wiernie służą — rzekł Ładon. — Gdy niedawno jeden z obecnych tu rycerzy morawskich, poniósł znaczną stratę na mieniu, król niezliczonemi obsypał go darami i rzekł do obecnych: „Gdybym tego walecznego rycerza mógł wykupić złotem od śmierci, jak skarabami memi zaradzić mogę jego niedostatkowi, tedy samą chciwość śmierci przesyłałbym bogactwami” *). Jakże tu nie służyć takiemu królowi?

— Ponoś tylko nie wszystkim wam, waleczny rycerzu, do smaku owa zbytńia hojność króla dla obcych przybyszów — ozwał się szyderczo błazen, nadechodząc. — Niejeden mąż, chwając inne niewiasty, powiada do swojej, by jej nie gniewać: „Aleś ty z nich wszystkich najurodziwsza; krasnaś, jak słonko na niebie.” A baba temu wierzy, choćby była brzydka jak wiedźma. Tak i król, by uspokoić zazdrosne szemrania, chwali i obdarza niejednego ze swoich, który wart tego tyle, co ja, ale zdaje mu się jednak, iż jest mężem wielkiej zasługi. Trzeba i mnie, widzę, zacząć szemrać, że obcy zabrali pierwsze miejsca na dworze, a może co dostanę... może król mnie zrobi wojewodą? Jak mi Bóg miły, nie gorszy byłbym od innych, a może nieraz lepiejbym poradził królowi, niż niejeden z jego doradców. Błaznem każdy pogardza, a nie pomyśli, że błazen, choć niby to kłamię, zawsze jakoś prawdę powie, podczas gdy są u nas tacy, co gdy nawet przypadkiem powiedzą prawdę, zawsze wyjdzie jakoś w końcu, że skłamali.

— Nie wiem, może są tacy zazdrośni, jak powiadasz — rzekł Ładon — ale ja się do nich nie zaliczam. Nie za-

*) Historyczne.

zdroszczę nikomu łaski królewskiej; wiem, że naszego króla stać na to, by był hojnym i dla swoich i dla obcych.

— Ej, rycerzu waleczny, synu wojewody, przyznaj jednak, żeś i ty nie bardzo rad temu, że król wyzwoleńców podnosi do godności waszych towarzyszy — zapiszczał znowu Osa. — Wy, władcy, nie chcecie nawet przypuścić tego, by chłop mógł się bić walecznie... gdzieżby to być mogło? To wy tylko jedni na świecie jesteście mężni, rozumni, wielcy... nikt więcej. Także to król dotąd pojąć nie mógł tego, co sam Bóg zapisał w niebie? Nawet gdy który z władcyków głupi i tchórz, zawsze on wart więcej, niż chłop, co ma rozum. Nieprawdaż, rycerzu? No, nie patrz na mnie tak groźnie, a przyznaj, żeś i ty niezbyt rad takim towarzyszom broni; a nużby, uchowaj Boże, chłop który mężniejszym się od was okazał? Co wtedy?

— Jeśli kiedy okażę niezadowolenie z tego, co król czyni, to wówczas będziesz mógł gadać, co ci się podoba — odparł Ładon niechętnie; — jak dotąd, nie masz prawa! Zapominam jednak, że wdaję się w rozmowę z błaznem, jak z rozsądnym człowiekiem...

— To jest stajesz się mi podobnym, szlachetny rycerzu — odrzekł Osa z ukłonem — bo kto mówi z błaznem jak z człowiekiem, sam się błażni. Wprawdzie nie bardzo mi to pochlebia, bo cóż się stanie z naszym błazeńskim rzemiosłem, jeśli do niego ot tak, lada władca, lada wojewoda, słowem lada kto przystawać będzie, by je po partacku pełnić? Dość już biedny król ma partaczy! zaraz policzmy: między rycerzami, między radą, między urzędnikami... ktoby ich tam wreszcie zliczył... Ja zaś u siebie partaczy nie zniosę. Coście wy warcie zresztą?... z błazna łącno może być wojewoda, a nawet rycerz w potrzebie, a z rycerza albo wojewody nawet błazen będzie lichy!

— Kto ci w mowie dotrzyma, ty oso złośliwa! — zawołał Ładon, śmiejąc się. — Nie bój się, nie mam najmniejszej ochoty do twego rzemiosła.

— Słuchajcie mnie, szlachetni witezie, tu zgromadzeni! — przemówił Osa, wążąc na ławę i tupiąc na niej, by być lepiej widzianym: — Razu jednego osieł patrzył, jak ksiądz czytał brewiarz, chodząc po łące. Gdy ksiądz odszedł, pozostawwszy księgę na trawie, osieł podszedł i zaczął karty przewracać i obwąchiwać; lecz daremnie się biedził, nie zrozumieć nie mógł. Rzekł w końcu: „Ej, lepsza trawa, niż taka zabawa; głupstwo to wszystko, tylko to mądre, co ja wiem.” Otóż tak samo ten oto rycerz powiada, że nie ma ochoty do błazeńskiego rzemiosła.

Głośny śmiech był odpowiedzią na to porównanie. Ładon śmiał się wraz z innymi, nie urażając się bynajmniej, a nawet rzucił błaznowi sztukę złota, mówiąc:

— Masz, złośliwa oso, i schowaj żądło.

— O, to nie po naszymu — rzekł Osa, kręcąc głową — znać zaraz, żeś bywał na obczyźnie, bo u nas błazen prędzej może się spodziewać kułaka, niż złota. A cóż, czy nie prawda? — dodał, obracając się dokoła — czyż sami nie poświadczycie, że odkąd służę błaznem na królewskim dworze, więcej dostałem szturchańców, niż sztuk złota.

— Co tam prawi ten szerszeń zjadliwy? — ozwał się któryś z rycerzy, zbliżając się do rozmawiających.

— Że dużo jest trutniów na świecie — odparł krótko błazen.

Tymczasem przerwana rozmowa Ładona z duńskimi posłami, znowu się toczyła dalej.

(d. c. n.)

Niebo w lipcu.

Już w początkach lipca poczyna dnia ubywać; słońce zostaje nad poziomem codzien krócej, wschodząc coraz później, a zachodząc coraz wcześniej o parę minut, tak, że gdy najdłuższy dzień w czerwcu trwał 16 g. 46 m., z końcem lipca długość dnia wynosi już tylko 15 g. 32 m., jakkolwiek ogólnie nie odczuwamy jeszcze tego ubytku.

Największa odległość ziemi od słońca przypada na 2-go lipca, pomimo to właśnie w tym czasie słońce działa silniej niżeli w swej najmniejszej odległości od ziemi, ponieważ zakreśla teraz największy łuk na niebie, przyczem promienie jego padają najmniej ukośnie na naszą półkulę.

Dnia 3 lipca w czasie pełni księżyca, przypadło zapowiedziane nam przez astronomów, jego zaćmienie spowodowane tem, że środki trzech ciał niebieskich: słońca, ziemi i księżyca znalazły się w swych obrotach prawie na jednej linii prostej i ziemia będąca między słońcem i księżycem rzuciła na niego swój cień.

Zaćmienie postępując zwolna, jak to niezawodnie wielu z was zauważyło nie było zupełne, została bowiem w dolnej stronie tarczy księżycowej wąska, świetlana obrączka, wynosząca $\frac{1}{10}$ części średnicy księżyca, podczas gdy pozostałe $\frac{9}{10}$ ciemnem, nieco czerwonym odznaczało się blaskiem. W Warszawie początek tego zaćmienia przypadł na godz. 9 m. 10, koniec zaś na godz. 12 m. 13. Razem więc całe zaćmienie trwało 3 godziny i 3 minuty, widzialne zaś było w Europie, w Azji z wyjątkiem północno-wschodniej, Afryce, południowej Ameryce i Australii.

Z planet widzialne obecnie są: Venus, Mars, Jowisz. Venus wschodząc między 6-tą a 8-ą rano, widzialną jest w końcu miesiąca zaledwie około dwóch godzin po zachodzie słońca. Posuwa się w gwiazdozbiorach Lwa i Panny.

Marsa można dostrzedz na północno-wschodniej stronie nieba w końcu lipca do godz. 11 m. 45 wieczorem, jako małą czerwoną gwiazdkę.

Jowisz, planeta przez długi czas najświetniejsza, stopniowo już znika nam teraz z oczu, zachód jego w końcu miesiąca przypada przed 10-tą wieczorem.

Saturn znajduje się bardzo nisko nad poziomem i tylko z trudnością bywa odnaleziony, zachodzi po północy.

Jedynie z pomocą przyrządów astronomicznych obserwują obecnie na niebie kilka komet. Droga mleczna przebiega teraz z północy na południe, wznosząc się coraz wyżej nad poziom.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Księga przyrody, wiersz przez M. S. — Alkaios w Motonie przez L. W. Szczerbowicza (z ryc.) — Dzielnny chłopiec przez Zofię Kowerską. — Wodospad Niagary (z ryc.) — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Niebo w lipcu. — Dodatek: Dwie kozy, wiersz przez E. L. (z ryc.) — Władzio i Ignasz. — Królowa poziomek i paproci, bajka czarodziejska przez Wacława Sulimę. — Żywe zabawki. Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE

DWIE KOZY.

Ponad przepaścią, pełną dzikiej grozy,
Wśród skał tatrzańskich sięgających w chmury
Zeszły się z sobą dwie młodziuchne kozy,
Na wąskiej ścieżce, która wiodła w góry.
— Hej! na bok! z drogi! jedna z nich zawoła,
Puszczaj mnie naprzód! — Ejże nie tak ostro!
Ja ci ustąpić ani myślę zgoła.
Takam ja dobra, jak ty, moja siostrzo!
Więc w marnej walce, z uporu wyrazem,
Jedna i druga z miną równie butną,
Skoczą ku sobie; by znalazły razem,
W głębi przepaści śmierć dla się okrutną.
O biedne kózki! zacięte w uporze,
W tak marnej walce zgubiły się wzajem.
Żał mi ich szczerze! ale więcej może,
Ludzi, co równym rządzą się zwyczajem.
Niech im kóz przykład tych nauk nie skąpi:
Że zło za sobą wszelkie spory wiodą,
I że ten mędrszy zawsze co ustąpi,
Niepewny tryumf zastępując zgodą.

E. L.



Władzio i Ignas.

Władzio i Ignas.

Władzio miał lat ośm i był bardzo miłym chłopczykiem. Uczył się doskonale, umiał głośno czytać, wiedział ile jest części świata i jakie są znaczniejsze kraje w Europie; wiedział nawet jakie są rzeki i miasta w Polsce; lubił jak mu opowiadano różne ciekawe rzeczy, tylko z arytmetyką szło mu najtrudniej. Powoli jednak i z tem dawał sobie radę, ale przy tej nauce takiego nabrał zarozumienia, iż nieraz śmiał się z Ignasia, młodszego od siebie o rok braciszka.

— Jesteś niedołęga — wołał — czytasz powoli, nie można cię zrozumieć.

— No, no — mówił Ignas — zaczekaj i ja za rok będę czytał prędzej.

— Ba, za rok, ja już wtenczas Bóg wie co będę umiał, może nawet do szkół mnie oddadzą.

— Jeżeli ty pójdziesz za rok, to ja pójde za dwa lata, bo ja jestem od ciebie o rok młodszy — odpowiadał mu rozważny Ignas.

— Gdzie ty tam pójdziesz! i za trzy lata nie pój-

dziesz; ty nietylko przy nauce, ale we wszystkim jesteś słamazara — wołał dalej, podskakując Władzio.

— No, proszę bardzo, nie nazywaj mnie tak, bo to nie ładnie — bronił się z powagą Ignas.

— A bo jesteś słamazarny, wczoraj, jakeśmy się bawili pałaszami, to nim dobyłeś pałasza, ja już trzy razy swoim wywinąłem.

— A tak, boś ty stał z gołym pałaszem, a ja swój dopiero przypasywałem.

— Eh, próżne gadanie, nietylko żeś słamazara ale i tchórz w dodatku — zawołał Władzio.

— O, co to, to nieprawda, tchórzem wcale nie jestem, ty się boisz zostać w ciemnym pokoju, a ja nawet do tej wielkiej sali pójde wieczorem i wcale się nie boję.

— Tak, ale pałasza się boisz! — mówił mały śmiałek, wywijając drewnianą szabelką.

— I pałasza się nie boję, poczekaj, przyniosę swój to się sprobujemy! — rzekł Ignas i pobiegł do pokoju, a Władzio został w ogrodzie, gdzie rozmawiali.

Wtem nagle mama, siedząca na ganku, usłyszała krzyk przeraźliwy. Przeleżała się bardzo, wybiegła i widzi Władzia zanoszącego się od płaczu. Ogląda się dokoła lecz nie dostrzega, coby mogło krzywdę zrobić jej synkowi.

— Co ci jest? — pyta jednak troskliwie.

— Ba-a-wi-tem się pa-a-łaszem i uderzyłem się w rękę.

— I tego płaczesz?

— Bo, bo... mnie bardzo boli! — rzekł Władzio i schował lewą rękę mocno od uderzenia zaczerwioną.

— No, będziemy się bić na pałasze? — rzekł Ignaś, który właśnie nadszedł, wywijając zręcznie szabelką.

— E, to może później! — zawołał Władzio.

— Niech będzie później, tylko nie nazywaj mnie tchórzem, bardzo proszę! — rzekł Ignaś.

— A widzisz — szepnęła mama do ucha Władziowi — nazywałeś brata tchórzem, a sam?...

Władzio bardzo się zawstydził, a chociaż go ręka bardzo bolała, nie skarżył się już wcale. Mama zaś taki wierszyk im powiedziała:

— Moi drodzy synkowie, żyćcie z sobą w zgodzie,
Czy w domu, czy przy książce, zabawie, w ogrodzie;
Niechaj się nie przechwała żaden z was z niczego,
Lecz gdy umie co lepiej, nauczycy drugiego.

Z. Morawska.

KRÓLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez *Wacława Sulimę.*

(Dalszy ciąg)

— Pozwólcie mi odejść szkaradne stworzenia wykrzyknęła, zwracając się na wszystkie strony, pożałujecie zeście mnie tak przyjęły.

— Zaraz, zaraz, a pociś tu przysła, tylko szpieg i złodziej tak wchodzi i ucieka, pokaż no się, jak ty wyglądasz, coś za jedna.

Mnóstwo szponów uchwyciło ją za suknię i ręce, parzące czepce musnęły jej twarz. Elżbietka zaczęła głośno krzyżeć i wrywać się, odpowiedział jej piskliwy śmiech, tłum rósł co chwila. Przerażona coraz więcej wrywała się i rzucała na oślep, ze wszystkich stron piekło ją i kłuło; zrobiła się okropna wrzawa. Małe jędze poczęły skakać jej do oczu i rwać za włosy.

Prawie nieprzytomna ze strachu i wyczerpana na siłach Elżbietka pośliznęła się i upadła. Pokrzywy rzuciły się na nią; już myślała, że ją strącają, kiedy nagle roztańczyły się i uciszyły, a dziewczynka usłyszała głos starej Pokrzywki.

Zerwała się, dobywając ostatnich sił.

— Pokrzywko! zawołała pomóż mi wydobyć się z tego piekielka, wszak pamiętasz jaką ci przysługę oddałam.

Podniosła głowę, ale stara pokrzywka widząc jej

włosy w nieładzie, nabrzękłą i pokaleczoną twarz wybuchła głośnym śmiechem.

— Pokrzywko! wykrzyknęła Elżbietka, zrozpaczona jej śmiechem, twoje towarzyski niegodziwie się ze mną obeszły i żądam, abys je przykładnie ukarała. Wszak dzięki mnie tylko zajęłaś tę kotlinkę, powinnaś mi być wdzięczną, a nie śmiać się, że mnie te szkaradne stworzenia napastują.

— Najpierw, moja ty ślicznotko, nie mam za co być ci wdzięczną, nie chodziło ci wcale o oddanie mi przysługi tylko o wypłatanie figla Leśnej Paprotce, co ci się też zupełnie udało. Moja to zasługa, że przy twem ogniu swoją pieczeń upiekła. A śmieję się bo takiej maskary jak żyję, nie widziałam.

— Potworo! wykrzyknęła Elżbietka, zapominając w gniewie o wszelkiej ostrożności, obys się tu nigdy nie była dostała! Królowa Paproci, którą ci pomogłam skrzywdzić, z pewnością lepiejby umiała ocenić wyrządzoną przysługę. Powiedz mi przynajmniej, co się dzieję z nią i z Halinką?

— Co się z niemi dzieje nie wiem, ale wiem co się stanie z tobą. Czy myślisz moja pięknotko, że stara Pokrzywka pozwoli byle komu wymyślać sobie? Mogłam ja być pokorną dawniej, ale teraz nikomu się nie dam, a ty zasługujesz na podwójną karę, najpierw za nieuszanowanie mojej osoby i lekceważenie moich towarzyszek, po drugie za to, żeś oszukała Halinkę i podmówiła ją do szukania Leśnej Paprotki. Ja kłamstwem zawsze się brzydę, czego ci natychmiast dam dowód. Na ten złośliwy żart małe jędze zachichotały, a następnie na skinienie starej Pokrzywki rzuciły się na Elżbietkę, przewróciły ją i zaczęły dotkliwie chłostać. Dziewczynka krzychała w niebogłosy, a stara Pokrzywka wzięwszy się pod boki przymawiała.

— A widzisz nie kłam, nie oszukuj, a co, żal ci poziomek, nie chciałabys, żebyśmy tu były, a co szkaradne z nas stworzenia, jak żyjesz nie widziałas takiej jak ja maskary? Masz pamiętkię, jak trzeba starą Pokrzywkę szanować. No, dosyć na dzisiaj, zaprowadzcie tę lałę do ciemnej piwniczki, a jutro zasadzimy ją do jakiej roboty.

Elżbietkę ochryplą od krzyku i wijącą się z bólu wepchnięto do ciemnej dziury i drzwi zatrzaśnięto. Przez szpary dochodziły jeszcze do niej wrzaski i chichoty złośliwych jędz, które ją tak nielitościwie wysmagały.

VIII

Śnieżnopióry gołąbek.

Jagusia powziawszy dobre postanowienie, starała się wprowadzić je w czyn. Kiedy ją Szyszka drażniła i męczyła, kiedy Kora wyśmiewała ją i przedrzeźniała, przypominała sobie ile to ona razy dokuczała w ten sposób Halince i z westchnieniem uzbierała się w cierpliwość.

Nie było to jednak łatwym. Codzienne śpileczki kłóły dotkliwie, a Jagusia nie była przyzwyczajoną do ustępowania, nie ćwiczyła się nigdy w łagodności i uprzejmości.

Pewnego dnia pracowała znowu w kuchence i zastanawiając się nad swoim położeniem zadumała się smutno.

— Kiedy ja wrócę do domu i do rodziców! myślała — jak tam niechętnie brałam się do roboty, chociaż wymagano odemnie tak mało. Wszyscy byli tacy dobrzy dla mnie, a ja byłam często zła i opryskliwa. Jakże inną, byłabym teraz dla Halinki. Ona przebaczyłaby mi pewnie wszystkie przykrości, które jej dawniej wyrządziłam, bo jest taka dobra, a ja uczyłabym się od niej cierpliwości i słodyczy.

Podniosła głowę, śnieżnopióry gołąbek siedział wprost okienka.

— Dobry wieczór dziewczeczko, zagruchał.

— Dobry wieczór ptaszynko, odpowiedziała smutno Jagusia.

— Nie gniewasz się za to, com ci ostatnim razem powiedział?

— O, nie, gołąbku bo to szczerą prawdą, ja sama zastanawiałam się i widzę, że mnie słuszną karą spotyka. Staram się też wszystko cierpliwie znosić, ale mi bardzo, bardzo ciężko. O gdybym mogła wrócić do domu, zupełnie byłabym inną niż przedtem.

— Dobrze, dziewczeczko, widzę że nie stracony był czas któryś tu przebyła. Fruwając nad dębem, słyszałem cię nieraz i wiem, żeś starała się płacić dobrem za złe twoim prześladowcom i że naprawdę myślisz o poprawie. Kara twoja już się skończy, sama jesteś, wyjdź do mnie, ja cię odprowadzę.

Jagusia wydała okrzyk radości i wybiegła. Poranna rosa operliła trawę, powietrze było świeże i orzeźwiający, wschodzące słońce ognistymi blaskami malowało niebo, ozłacając przytem mchy i drzewa, rozkładając świetlane pasy na ziemi.

Śnieżnopióry gołąbek zagruchał radośnie, inni śpiwacy leśni odzywać się też poczęli.

Jagusia czuła się wesołą i swobodną. jak ptak wypuszczony z klatki.

— Prędzej gołąbeczku, wołała, prowadź mnie do Leśniczówki, tak mi już tęskno do rodziców, do rodzeństwa i Halinki.

Gołąbek zatrzepotał skrzydłami i pofrunął, Jagusia, biegnąc w ślad za nim, zaczęła się spuszczać w jakiś wąwóz, nie wiedząc gdzie idzie, ale ufając zupełnie dobrej ptaszynie. Nagle wydała okrzyk zdziwienia, na murawie, w głębi parowu spała Halinka, która zbudzona jej okrzykiem zerwała się i poznawszy ją, rzuciła jej się na szyję.

— Gdzieżeś ty była, Jagusiu?

— Skądęś się wzięła Halinko?

Pytania i odpowiedzi krzyżowały się, obie dziewczynki opowiadać sobie zaczęły swoje przygody, przeplatając je wykrzyknikami zdziwienia i pieszczotami.

— Jakże mi przykro, moja Halinko — mówiła Jagusia — że tak ci dokuczałam, rozumiem teraz coś od nas wycierpiała, przebacz mi, zobaczysz, że się poprawię.

Halinka uściskała ją ze łzami, w szlachetnym swem serduszką nie chowała żadnej uwagi i gotową była odpłacić przyjaźnią za przyjaźń. Wydało jej się, że ta szczęśliwa zmiana, która zaszła w Jagusi, jest nagrodą za ofiarę, którą zrobiła Leśnej Paprotce i serce jej wezbrało wdzięcznością

(d. n.)

ŻYWE ZABAWKI.

— Jak urosnę — mówił pięcioletni Adaś — kupię sobie pałasz, zostanę zaraz generałem.

— A ja jak urosnę — dodała starsza o dwa lata Kocia — kupię sobie wieś i będę panią.

— Nie kupisz wsi, bo nie masz pieniędzy — zaprzeczył Adaś.

— I ty nie kupisz pałasza i nie będziesz generałem — zawołała z gniewem Kocia.

— Kupię! — krzyknął chłopczyk i tupnął nogą.

— I ja kupię! — jeszcze głośniej zawołała Kocia.

Jak się zaczęli sprzeczać, powstał taki gwar, że aż mama przysłała z drugiego pokoju.

Dzieciom dostała się nagana, a co więcej, mama ze smutkiem powiedziała, że przestanie je kochać, jeżeli tacy będą niegrzeczni.

Uspokoili się więc, bo mamę kochali bardzo.

Wieczorem przyjechała ciocia, Kocia przywiozła śliczną lalkę, Adasiowi bębenek i pałasz. Radość dzieci granic nie miała, Kocia swoją lalkę nazwała Filą, Adaś powiedział, że napewno będzie generałem, bo nietylko, że ma pałasz, ale i bęben.

— Generał nie bębni — zauważyła Kocia.

— Jak chce to bębni, może nawet i trąbić, wszystko mu wolno — odpowiedział chłopczyk.

— Moja Filą ze mną sypiać będzie — rzekła Kocia.

— I mój bęben ze mną sypiać będzie — dodał Adaś.

— Bębny nie sypiają — zaprzeczyła Kocia.

— Sypiają! — krzyknął chłopczyk, to lalki nie sypiają, bo one są z gliny.

— Przepraszam — żywo zaczęła Kocia — moja lalka nie z gliny, tylko z gipsu, mamusia mi to raz mówiła, a twój bęben ze skóry i z drzewa. Moja lalka ma nogi, ręce, ma głowę i oczy które otwiera, więc spać może, bo moja lalka żywa.

— I mój bęben żywy! i mój pałasz żywy — wołał Adaś zaperzony.

— Aha, prawda! — żywo wtrąciła Kocia.

— Żywy! to twoja lalka nieżywa — głośno krzyknął chłopczyk, przyczem powstał taki hałas i krzyk, aż starsza siostrzyczka Celinka przysłała z zapytaniem od mamy, co ten hałas znowu znaczy.

Rozpoczęło się opowiadanie tak głośne, przeplatane płaczem, że Celinka zastoniła sobie uszy i powiedziała, że chyba ogłuchnie.

— Adaś mówił, że moja lalka nie... nie żywa — szlochała Kocia.

— Kocia. . Kocia... sprze... sprzeczała, że mój bębenek... nie żywy — mówił Adaś łkając.

Celinka pogodziła wreszcie malców, powiadając, że i lalka żywa i bębenek żywy, żeby sobie dobrze to zapamiętali.

Gdy się po kolacyi spać pokładli, Kocia ułożyła przy sobie pięknie ubraną lalkę, a Adaś z jednej strony bębenek, z drugiej pałasz.

Daremnie Franusia persadowała, że zabawki mogą leżeć na sofce, że nieżywe rzeczy sypiać nie potrzebują, ale dzieci utrzymywały, że właśnie lalka żywa, i bębe-

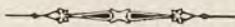
nek żywy, więc spać muszą. Nie obeszło się znowu bez sprzeczek, aż znów Celinka przysłała i powiedziała Franusi:

— Moja Franusiu, nie sprzeczasz się, przecież widzisz, że Kocia i Adaś nie są dwuletnie dzieci, skoro więc utrzymują, że lalka i bębenek są żywe, to muszą być żywe z pewnością.

— Ha, to może i żywe — rzekła Franusia wzruszając ramionami.

— Mama powiedziała — mówiła dalej Celinka — że od dnia dzisiejszego, wszystko będzie prawda co powie Kocia lub Adaś, i podług tego postępować się będzie. Już te krzyki, kłótnie i płacze uprzykrzyły się wszystkim w całym domu, raz trzeba temu położyć koniec.

(d. c. n.)



ZAGADKA.

estem rzeką co przestrzeń obliczywszy ściśle,
W kraju, tylko pierwszeństwa ustępuje Wiśle,
Lecz zrób w mem zakończeniu jedną tylko zmianę,
A ujrzysz, że się z rzeki zaraz drzewem stanę.
Co choć daje pożytek i osłania cieniem,
Ze strasznej klęski w dziejach łączy się wspomnieniem.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSTAŁOWA.

ulożyła Niezabudka.

1. Spółgłoska.
2. Dopływ Wisły.
3. Miasto nad Sanem.
4. Dopływ rzeki Missisipi.
5. Wąwoz historyczny w Grecyi.
6.
7. Twierdza nad zatoką Tarencką.
8. Grecka bogini myślistwa.
9. Dopływ Dniepru.
10. Dopływ Wołgi.
11. Samogłoska.

Rząd środkowy oraz środkowe litery złożyć powinny imię i nazwisko króla polskiego, panującego w XVII wieku.

ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

Wichura dla Polskiej Różyczki.

Cn . t . sk . rb w . . czn . cn . t . kl . . n . t dr . g . ,
T . g . é n . . w . drz . n . . prz . j . c . . l sr . g . ,
O . . sp . . l . . g . . n , n . . z . b . . rz . w . d .
N . d wsz . stk . . m . nn . m p . u . j . prz . g . d . .

ROZWIĄZANIA DO Nr. 27.

Zagadki: G r z y b .

Łamigłówki sylabowej:

- 1) Barbara (św.) 2) Opał. 3) Race. 4) Kadyx. 5) Obrab.
- 6) Wisconsin. 7) Skud. 8) Kair. 9) Amazonka.

Borkowska Alexandra.

Łamigłówki liczbowej:

100	10	50	40
40	50	10	100
10	100	40	50
50	40	100	10

Skrzynka do listów.

P. Wańdzie N. Ponieważ zmiana adresu kosztuje tylko 15 kop. przeto reszta nadesłanych pieniędzy, pozostaje do rozporządzenia.

W imieniu biednych dzieci z kolonii letnich, którym przysłane ubrania bardzo się przydadzą, dziękujemy Zielonej żabce pozdrawiając ją serdecznie

Z przyjemnością dowiedzieliśmy się, że Wieczory tak wielkie zadowolenie sprawiają **Eleonorze C.** która sama mianuje się najciekawszą naszą czytelniczką. Pojmujemy też jej radość z powodu dalszej prenumeraty, na którą dobra mamusia się godzi. Niechże jednak miła czytelniczka nie zamilknie nadal, i po tym pierwszym liściku doniesie nam obszerniej o swej pracy w nauce i ulubionych rozrywkach.

Puszczykowi z Piławy przesyłamy szczerę powinszowania promocji przy tak dobrych stopniach w cenzurze. Wyobrażamy też sobie jak miły mu być teraz musi odpoczynek, na który w zupełności zasłużył. Niechże tylko "poważny" tytuł czwartoklasisty nie przeszkodzi w utrzymaniu dawnej naszej znajomości. Z nadesłanych szarad i łamigłówek znajdzie się zapewne po przejrzeniu coś podatnego do druku.

Aleksandrowi W. List ostatni oraz nowe łamigłówki odebraliśmy. Niewątpliwie powrót w strony wszechwładnego jeszcze panowania zimy, gdy u nas już wiosna oddawna obdarzyła kraj ciepłem słońca i zielenią, musiała wywołać dość silne wrażenie. I trzeba sobie uprzytomnić ową olbrzymią odległość ku mroźnym stronom, aby się nie dziwić tak znacznej różnicy klimatu.

Weześniejsze nadesłanie pracy konkursowej nie pociąga za sobą najmniejszej różnicy, przeciwnie, jest nam miłym dowodem gorliwości i zapału z jakim **Wiedenska** stawiała się na wezwanie redakcyi. Łamigłówkę przejrzymy, zasyłając tymczasem pozdrowienia obok życzeń przyjemnej zabawy w zamierzonej podróży.

Dopiero za swym powrotem Jaskółka może przesłać **Piotrusiowi Hry.** zawiadomienie czy tę osobliwą markę jeszcze posiada, tymczasem pragnęlibyśmy, aby mały amator marek popracował troszeczkę zarówno w kaligrafii jak w pisowni i niezadługo złożył nam dowody postępów w tym kierunku, a może Jaskółka zachwycona ładnym listem, zechce postarać się o jaki inny jeszcze osobliwy okaz do zbiorów Piotrusia.

Łamigłówki własnego układu nadesłali: **Giermek, Orzeł karpcki, Marynia Z., Lusja, Władysław i Zygmunt, Inżynier i Anula,** dobre zaś rozwiązania nadesłali: **Aleksander W., Juliś, Anula, Zygmunt, Pawik dzienny i Skowronek.**

